

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,  
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1847.

Poznań, dnia 1. Listopada.

**DZIENNIK DOMOWY**, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydane jest rycina mód parzykch, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Słyszeliśmy znowu kilkakrotnie rzucane pytanie, czyli wychowanie zagraniczne w niektórych przypadkach nie jest lepsze niż wychowanie krajowe. Pytanie to, powstaje bardzo naturalnie, a mianowicie z tej przyczyny, że w niektórych krajach wychowanie ma częstokroć cel przeciwny, jakby mieć powinno. Kiedy naród posiada własne wychowanie, wtedy niewątpliwie ono jest najlepsze, bo przecie musi być jako tako zastosowane do potrzeb miejscowych, zgodne z duchem ogółu, oparte na doświadczeniu przodków i ojców, ale gdzie się naród żywi wychowaniem pożyczanem, tam mu może być za jedno, czy wychowanie bliższe, czy dalsze od swego domu.

W wychowaniu nie po rodzinnych zasadach prowadzonym, skoro niemożna mieć innego, trzeba zważać, aby ono niepsuło w młodzieńcu człowieka, aby mu przodków cnoty i zalety nieprzekrzywiało na wady i błędy. Gdzie bowiem wychowanie wydiera moralność, tam lepszy człowiek bez wychowania od człowieka z wychowaniem. Pierwszy skoro tylko jest dobrego serca, prostego rozsądku, kieruje się przyzwyczajeniami od ojca i matki przyjętymi, które są po większej części rezultatem zasad moralnych w ludzkości i narodzie przez wielu wyrabianych. Inaczej dzieje się z drugim, który przy wychowaniu nasiąkł jadłem zepsucia. Mieć więcej usposobienia, zdolności, wprawdy do złego, jest to być gorszym człowiekiem.

Wychowanie atoli choć nierodzinne, jeżeli ma na celu moralność, zawsze jest zbawienne. To obce które jest w kraju, zawsze lepsze od obcego za granicą. Nierozstrzygnęli jeszcze pedagogowie pytania, gdzie

młodzieniec więcej się uczy, a przynajmniej wyra-  
bia na człowieka, czy w szkole, czyli w swym do-  
mu, obok szkoły. W szkole podobno, nabywają się  
tylko sposoby do myślenia, a myśli najwięcej się zbiera  
w domowym pożyciu.

Ludzie bogatsi i ci, co się lubią poczytywać za  
znakomitszych, kładą zawsze większą wagę na wycho-  
wanie odleglejsze od domu. Błędna to podobno  
zasada: rodzice powinni się naprzód starać o to, żeby  
ich dziecko było takie, jakimi są drugie, a dopiero  
myśleć nad tém, żeby celowało pomiędzy drugimi.  
Wychowanie, które utwarza całkiem innego człowie-  
ka, może snadno utworzyć śmieszny oryginał.

Są niektórzy rodzice, co widząc, że ich dzieci  
okazują się upośledzonymi, wywożą je daleko za  
granicę, aby zakryć pomiędzy swemi ich nieudolność.  
To jest błędem okropnym. Młodzieniec większych  
zdolności wszędzie się przebiję swoim duchem i dla  
tego na niego obce zasady mało wpłyną, lecz młodzie-  
niec słabego umysłu, toczy się tylko po tej drodze,  
która mu od drugich zostanie wytkniętą. Radziemy  
przeto w podobnych przypadkach mieć na uwadze to  
zdanie, że głupiec swego chowu niebiję nigdy tak  
w oczy, jak głupiec z przymiotami cudzoziemca, któ-  
ry każdą uwagą obudzać musi cikliwość pomiędzy ty-  
mi, co mu są najbliższymi, a przecież w niczym nie-  
podobni.



# Czarny krzyż.

## POWIEŚĆ.

Wiele słyszałem o prześlicznym położeniu i malowniczych widokach okolicy Krakowskich; lecz od samego dzieciństwa nie widziałem ich wcale. Dawno marzyłem o chwili, w której będę mógł ujrzeć rodzinne pola, równiny, wzgórza; napaść oczy tym tłumem różnorodnych obrazów, nasycić się, pochłonąć je, aby na zawsze zostały w pamięci. Dziecinne lata spędziłem nad Nidą, dla tego pragnąłem ujrzeć raz jeszcze te modre fale, które pluskały na głowę dziecięcia; tę cienistą olszynkę, gdzie nieraz biegałem ochoczo; ten dworek, w którym pierwszy raz ujrzałem światłoienne! bo to miło śród burz życia odpocząć tam na chwilę, gdzie się bawiło w kołysce! ujrzeć krainę niewinnych wspomnień, pamiątek w młodości.

Pojechałem.

Cudownato pora; pierwsze dni czerwca pozieliły pola, łąki i gaje — wszędy wesoło, rzeźwo, ochoczo. Trzeba być zimnym egoistą, samolubem, aby nie czuć piękności natury. Bo też tam i jest co podziwiać! wystawcie sobie zieleniuchną, kwiecistą równinę, woń czysta kwiatów wiosennych rozchodzi się do koła, a śródkiem płynie zwolna rzeczka cicha, spokojna, jasne promienie słońca odbijają się na jej kryształowej powierzchni — jak święte prawdy religii w duszy chrześcianina wyznawcy, przejrzysto, świetnie, lśniaco! Niekiedy urwisko skały, zawieszzone nad rzeką, rozbija o siebie jej pluskające fale, pokrywając się białą, śnieżystą pianą — to niby siwy starzec pochylony nad tonią wieczności, jakby ją chciał uścisnąć w spragnionem objęciu.

Daléj kilka wysmukłych jodeł, cienistych olszy lub gajk brzoź płaczących, a za niemi zielone pole, niby druga woda obszerniejsza, piętrząca się falą za każdym wiatru powiewem. Potém wzgórze, daléj równiny zbożem pokryte, znów wyniosłości, skały, wąwozy z wiszącymi nad niemi krzaki jałowcu; daléj jeszcze źródła i strumienie, płynące z pod granitowych odłamów. Zdaje się, iż ręka natury umyślnie porzuciła to wszystko, aby okazać, jak piękną jest nawet w dzikim nieładzie swych tworów.

A co najwięcej temu obrazowi nadaje życia, to chłopiec Krakowski z piosnką na ustach, czapką na uchu i całą gestą miną. Nie darmo nasza młodzież po Krakowsku przebierać się lubi, bo też śliczny ubiór Krakowiaków; a jeśli bladym, wywiedłym

paniczom do twarzy kierezya, pas i podkówki Krakowskiego chłopka, to czyliż nie stokroć pięknieéj w rodzinném odzieniu wychowańcom tamtéj strony!

Albo, co zarzucić hożej Krakowiance? Prosta, skromna, wesoła wieśniaczka, ozdobiona polnemi kwiaty, śmiejąca się wdziękiem niewinnéj prostoty i młodości. Nie ma tam zimnych, wymuszonych prawideł i obłudy; lud ten, wychowany w dworku i chacie, ostatni dochował szczeróść i prostotę naddziadów.

Kiedy dziewczyna pokocha wybranego przez siebie młodzieńca, nie wstydzi się tego okazać przed światem, owszém chlubi się swoim szczęściem, pewna, iż nie wzbudzi zawiści. Wtenczas to prawdziwe szczęście młodej pary. Trzeba widzieć, gdy przyjdzie niedziela, jak oni razem idą do kościoła, razem się modlą, potém razem śpiewają i pływają ochoczo. Wtedy w niewinném upojeniu, pewnieby wzgardzili złotem Potozu, gdyby za cenę bogactw miano ich rozłączyć.

Już tylko kilka mil zostało do mojej rodzinnej wioski, lecz słońce chyliło się ku zachodowi, trzeba było zanocować.

Była sobota.

Kiedy ostatnim błyskiem zachodu zęgnęła świat pyszna dnia gwiazda, ujrzałem gromadę dziewcząt, parobków, kobiet i starców, jak z wesołemi śpiewkami i głośnym śmiechem szli do dworu po tygodniową wypłatę. Przed dworem chłopczyk siedmioletni hasał wesoło na lasce, niby na koniu, i wywijał drewnianą szabelką; wspominałem mglistą pamięcią dni mego dzieciństwa i oczy mimowolnie zaczęły się łzami.

Nazajutrz byłem w kościele. Liczne tłumy zajęły świątynię Pańską i wszyscy na kolanach, w kornej postawie, ciche szeptały modlitwy. Przebudzony tak niewymownym przykładem, rzuciłem się również na kolana, i śród tych prostych, szczerých modłów zdawało mi się, że i moja myśl przedéj stanę przed tronem Najwyższego.

Po nabożeństwie, ta milcząca skupiona masa, ożywiła się nagle. Głośna i równie jak ciche modły, szczerą ochotą wypogodziła milczące oblicza wieśniaków, którzy teraz w wesołych pływach po tygodniowej pracy szukali wytchnienia. Wzdrygnąłby się modniś wychuchany, zfrancuziały, na odgłos radosnych okrzyków Krakowskiego chłopka, na brzęk jego podkówek i kótek u pasa; zaszklane, przymknięte oko nie zniosłoby szybkich ruchów hożego tańca, tego oddźwięku wesołości i wewnętrznego spokoju; lecz kto ma duszę i serce, tego rozrzewni prosta melodia krakowskiej śpiewki, ochocze, zwinne płasy



rodzinnego tańca. Tamto wykazuje się na jaw, odbija się na tle szczerzej wesołości czysta dusza, nie-skażona myśl i szczęście Krakowskich wieśniaków.

Niepodobna bez wzruszenia poglądać na to różne grono — jakas tkliwa rokosz poi serce, duszę, całą istotę.

Po chwili wybiegłem — był zmrok.

Chcąc puścić wolny bieg myślom, szedłem nad brzegiem rzeki — było to moja rodzinna Nida. Patrzałem z rokoszą na jej zmarszczoną powierzchnię, bo wiedziałem, że kropelki pluskające przed memi oczyma, niedawno płukały stopy tej wioski, gdzie mnie pierwszy raz świat człowiekiem powitał.

Zatopiony w myślach, oddaliłem się znacznie. W tém przybiega za mną kilku parobków ze wsi i żegnając się mówią:

— A gdzieżes też jegomość zaszedł? wszakci tu licho siaduje!

Zdziwiony, spojrzałem koło siebie: przedemną wznosiło się nie wielkie wzgórze, a na niem przy bladém świetle zorzy, dojrzałem czarny, mchem zarosły krzyż. Rzeka w tém miejscu nieco zagięta, otaczała pagórek prawie ze trzech stron.

Pewnie jaka stara pamiątka, pomyślałem i chciałem iść dalej.

— A niechże Matka Najświętsza broni, — zawołali chórem, — o zmierzchu nie, każdy tu pójdzie.

— A to czemu?

— Ochl Panie święty — rzekł jeden; — tylko że to człowiek nie chce wspominać podczas ciemnej nocy, co się tu dzieje pod krzyżem.

— Jakto, pod krzyżem? — pytałem zdziwiony.

— Eh, tu nie tylko krzyż, ale i ksiądz ze świętościami nie pomógł: święcił, kropił, a licho swoje broi. Tylko niech już się jegomość wróci, boby nas jego szkoda bardzo zmartwiła.

Nie chciałem zasmuczać dzielnych chłopaków, mimowolnie wciąż przejęty nawet dla ich uprzedzeń i przesądów rodzinnych; bom się nie lękał upiórów i strachów; lecz czy godziło się niszczyć ich urojeń i wiary, gdy im tak dobrze z tą wiarą?

Ciekawy przecież, pytałem ich o przyczynę, historię tego miejsca, lecz żaden nie mógł mnie zaspokoić. Mówili tylko, iż w nocy zawsze szatan wyprawia tam harce, słychać jęki, płacze, wrzaski i śmiechy, a nie widać nikogo.

— Niktże z was nie zna dziejów tego miejsca?

— pytałem.

Już bo to Jegomości żaden tak dobrze nie powie; ale jest tu bardzo światły człowiek, stary organista, on wie wszystko.

— Więc prowadźcie mnie do organisty, — rzekłem i wyszliśmy dalej.

Powoli wypogodziły się oblicza moich towarzyszy, a w końcu huczną pieśnią odpowiedzieli na okrzyki wieśniaków.

— Nieże się nie stało dobremu panisku? — pytali ciekawie jeden drugiego.

— Niech będzie Najświętszej Pannie dzięki! — mówił uchylając czerwoną czapkę rumiany staruszek.

— Znać — rzekł inny — żeś pan nie tutejszy rodzic, kiedy nie wiadomo panu o czarnym krzyżu.

— *Laudetur Jesus Christus!* — powitał mnie jakiś siwy, pochylony staruszek.

— *In saecula saeculorum!*

— Podobnoś Waszmość, łaskawy Dobrodzieju, ciekawy historii o czarnym krzyżu? dobrze, żeś się udał do mnie, bo téżto ja wiem najlepiej. Siłaćto człowiek pamięta, już wiek ubiełił włosy, a wiek nie lada; 70ty roczek, Dobrodzieju. Dawniej żyło się inaczej, poduczył się człowiek i krzyżowej sztuki *et latinam*, Dobrodzieju; dziś jestem organistą ku Bożej chwale i pożytkowi tych pocziwych ludzi.

Byłto krzepki, choć nieco pochylony, rumiany a siwy jak gołąb staruszek. Nie spostrzegłem w nim tego typu śmieszności wiejskiej wyroczni, jaką nam zwykle malują; lecz byłto sobie pocziwy, dobroduszny starzec, patriarcha rodzin, sędzia zwaśnionych i starosta każdego wesela swój wioski.

Prosiłem go coprędzej o powieść obiecaną, spodziwając się usłyszeć jaką ciekawą legendę; a że wieczór był ciepły i pogodny, zostaliśmy na wolném powietrzu. Zorze zachodu gasty powoli, na pociemniałem sklepieniu potoczył się księżyc i bladym promieniem oświecił bledsze jeszcze włosy starca, który na darniowem siedzeniu z tęskną zadumą odmawiał pamiątki ubiegłej przeszłości. Był to piękny obraz — z wolna oblicze jego ożywiło się i zaczął mówić:

## I.

„Na miejscu gdzie ten czarny krzyż stoi, przed laty wznosił się zamek. Kiedym był jeszcze pacholęciem, dziwne rzeczy prawiono o starém zamczysku; — niedługo pozostały tylko gruzy, kilka baszt i postrach na całą okolicę, a w końcu i to zwalono, dziś małe ledwie widać ślady na wzgórze.

„Podtenczas; niedaleko od starych ruder, mieszkali dwaj bracia, Paweł i Jan. Ojcowie dawno im pomarli, oni żyli tylko sami ze starym krewniakiem na ojczystej zagrodzie, a żyli rzadnie, oszczędnie, czeiwie, kochali się i Pan Bóg im szczęścił. Jednak



starszy Piotr miał wiele skłonności do próżniaczki, był charakteru nieco twardego, dzikiego, nie kommu- nikował się z nikim, zawsze mu ponuro patrzyło z o- czu. Za to młodszy, duszą i ciałem pocziwy chło- piec, z każdym żył po przyjacielsku, w zgodzie; lubili go wszyscy. Stary ich krewniak, Jędrzej Kosterniak już nie raz poganom zajrzał w oczy, nie raz nakie- reszował twardą głowiznę pana brata, i nie jedną w zamian odebrał szramę — było dzielny, wąsaty wiarus, coby się nie uląkł samego szatana. Praco- wał on w polu razem z dwoma braćmi, żył z nimi i był szczęśliwy.

„Wszystkoto była szlachta karmazynowa z dzie- da pradziada, ale że Bóg dał fortunę niezbytnią, prze- to żyli szczupło, ubogo, ale chędogo, jak Pan Bóg przykazał. Byli dobrzy i spokojni sąsiedzi, nie wszczy- nali nigdy kłótni; ale już to zwyczajnie, jak każdy szlachcic zagrodowy, kiedy was przywoity, nie da so- bie zająć w drogę, tak też i oni. Tylko, że w oko- licy znano ich jako tegich zuchów, przeto nie każdy chciał im zajrzeć w oczy lub stanąć do krzyżowej sztuki. Tak tedy żyli spokojni, a lata miały.

„Gdy wyszli na dobrych podrostków, bo starszy miał lat 25, a młodszy 24, ciasno im się zdawało na rodzinną zagrodzie, osobiwie Pawłowi, który tak cheiwie pragnął świata. Zgodzili się przeto, aby się rozdzielić. Próżno stary Jędrzej odradzał, gniewał się i fukał: Paweł dobrze opatrzywszy się, ruszył w świat. Jan został w domu. Jużto kiedy człowiek ucieka od pracy, licha z niego pociecha; wiedział Ję- drzej o tém, dla tego też nie wróżył Pawłowi nic do- brego w świecie.

„Po odjeździe brata, Jan trochę zesmutniał, je- dnak z równą pilnością uprawiał oba działy, zbierał z każdego osobno i czekał na Pawła. — Paweł nie wracał.“

— Pewnie go tam świat nie dobrego nie nau- czy — mawiał stary — a bieda rychło do domu przypędzi.

„Pawła przecież nie było widać — tak prze- szło lat cztery.

„Nudno jakoś było Janowi bez brata, czas po- woli włócił się z dnia do dnia. Jan chodził, dumał, biadował się, nareszcie postanowił się ożenić, a miał lat dwadzieścia ośm.

„Była tu w pobliżu hoża dziewczka, córka Rotmi- strza, ośmnastoletnia Jadwiga. Panie odpuść! niby cudo jakie. Matki już nie miała i żyła tylko z ciotką i ojcem samotnie. Nie dziwota, że Jan rozmyślał na zabój. Rotmistrz, była to nieco dumna sztuka, jak wszyscy dorobkiewicze, do których podobno i on

należał. Bo w ów czas, kiedy u nas tylko zaburzenia i rosterki panowały, nietrudno było człowiekowi obrot- nemu zebrać majątek; ja tam tego niesądzę, bo prze- cież i pan rotmistrz na boskim sądzie; dość, że kupił tutaj parę włości i chciał właśnie uczynić pomiar swe- go mienia. Jużto panie odpuść, te pomiary nigdy nie wyszły na dobre. Miał też Rotmistrz, prócz sług, których było dosyć jednego towarzysza chorągwi do po- mocy przy gospodarstwie i kielichu, lecz obaj jako ludzie rei militaris, niemogli sobie dać rady z tym pomiarem. Jan przecież był lat kilka w collegium w Pinczowie, poznał trochę nauki i podjął się po- magać rotmistrzowi. Takim sposobem, Jan zaczął często bywać w dworku starego wojaka, a modre oczy panny Jadwigi coraz to miliej poglądały na do- rodneho zagrodowca. Ojciec przyjmował go uczei- wie, bo wiedział, że człowiek prawy i szlachcic herbowy, ale niespodziewał się nigdy, aby Jan mógł podnieść oczy tak wysoko i był sobie bezpieczny. Ponieważ Jan był teraz niemal ciągłym rezydentem w dworku rotmistrza, musiałby przeto mieć kamien- ne serce, żeby niestracić głowy i serca. A że on miał duszę skonną i prawą jak każdy Krakowianin, i przetém wcale ukrywać się nieumiał, przeto po- mału zakradł się i do serduszka niewinnego dzie- wczęcia.

„Bywało siadał na ławeczce w ogrodzie, nuż gru- chać jak gołąbki, pleść dwa po dwa, trzy po trzy, bez ładu i składu — ale im to było miło, bo się kochali. Lecz, że oboje byli skromni i bogobojni, nie śmieli tego sobie powiedzieć, jednak rozumieli się dobrze, a co gorsza, ojciec niewiedział o niczém.

„Tymczasem dzień za dniem schodził, gospodarka pana Jana podupadła, zasiewy wygnily, resztę siasie- dzi spaśli, dobytek już na księżą oborę patrzył; przecież Jan nie uważał na to; bah! i jakże mógł uważać, kiedy u niego tylko modre oczy panny Ja- dwigi na myśli, jój słodkie słówka w pamięci. Rotmistrz niedomyślając się niczego, polubił Jana i chętnie go widział w swym domu.

„Jużto ja radziłbym panom ojcom, którzy mają panny córki, aby pilnie uważali i rozważali każdego, kogo mają w domu, iżby później nie żałowali po niewczasie!

„Jan jednak posmutniał, osowiał, jużto, Panie odpuść! i do kościoła nie zawsze chodził; widocznie tkwiło w głowie przeczucie — a przeczucie rzadko zwodzi. Kiedy który z sąsiadów chciał pogawę- dzić, pocieszyć, rozweselić strapionego, to wszystko próżno. Dawniój Jan taki rozmowny, wesoly, a te- raz gdzie tam! Powiedział: tak, lub nie, lub mileżał



wcale, a uśmiechał się. Widocznie gryzły go jakieś myśli — przekłete kochanie! Kiedy zaś był u swój Jadwisi, zapominał o wszystkiém, ją tylko widział, o niej myślał; — ba, on i niemyślał, nie widział, bo on ją kochał samym sobą — całą istotą! Ale ja powiem co myślę: ot, że takie kochanie licha warto; dobrze, że się człowiekowi spodoba niewiasta i chciałby ją pojąć, bo już to taki tryb rzeczy i przeznaczenie; przecież żeby szaleć, nie jeść, wędnać, męczyć się i wzdychać, eh! to panie odpuść, tylko jaki opętaniec może czynić. Już bo po co to wszystko? chcesz? dobrze, nie chcesz? trudna rada; tylko, że nasz Janek zawsze był sam, w wolnych chwilach siedział nad księgami gdyby rabin, nie dziwnego, żeby sobie dziwy w głowie uroił; gdyby żył nieboszczyk ojciec, pewnieby tego niebyło. Tylko ta samotność i duma nie dobrego nie wywróży — a i z Pawła nie lepszego nie było. Szczęście, że Jan miał duszę pocziwą, to tylko choć sam był nieszczęśliwy, ale miał sumienie czyste, a tamten, Panie odpuść!... o tém potem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Nieco o jarmarku Berdyczowskim.

Jarmarki w prowincjach są najprawdziwszemi obrazkami w miniaturze tego wszystkiego co zawierają w sobie okolice. Naturalnie, iż Berdyczów główną pod tym względem gra rolę. Kto chce poznać obroty handlowe, kto chce widzieć jakie mamy konie i woły, jakie kupujemy powozy, jak drogo opłacamy Schafnagla, jak obiadujemy u Bellota, kto chce widzieć nadewszystko nas samych z pejczami w ręku, w baragolskich paskach, wołyńskich burnusach i modnych paltotach, grających i pijących, wesołych i smutnych, chorowitych i zdrowych, z włosami à la artiste i à la brosse, z wąsami i bez wąsów, z brodami i bez bród; kto chce także powziąć wyobrażenie o naszych brunetkach i blondynkach, których tyle i tak pięknych posiada kraina, a których dziś tyle i tak awantażownie wybielił burakowy cukier, — kto chce mówię poznać, obaczyć to wszystko, temu radzimy, zamiast podróżyowania po jednostajnych polach i wioskach, wprost zjechać na jarmark do Berdyczowa.

Na ten raz chcę być waszym cicerone. Proszę wziąć cygaro do ust, pejcz do ręki, czapkę baragołkę na głowę, bo kapelusze tu zbyt, pasek czer-

kieski żeby błyszczał z pod eleganckiego tużurka, chusteczka na szyi lub bez niej, kamizelki wcale nie trzeba, szarawary bez strzemionek szerokie — tak — dobrze, teraz Pan jesteś czystej rasy jarmarkowicz, a więc proszę za mną. Oto wprost przed nami jaśnieje w całym swoim blasku Machnowiecka ulica, główna arterya, Newski prospekt, Palais-Royal naszego Berdyczowa. Oto gościnny Bellot, oto Herbst, oto Ryfka, oto Moszko, Lübbe, Szafnagiel, tytunie, wina, srebra, materye — masz tu wszystko. Chcesz Pan drobnych rzeczy za grube pieniądze? — proszę nie omijać Schafnagla; chcesz poznać gust i elegancję Warszawskich wyrobów? — Oto Herbst pokazuje nam ją jakby w kalejdoskopie; chcesz poznać co to za jedna Pani Ryfka? o! jest to niewysłowna osoba! Gdyby mój kochany panie patrzyło na cię choć raz jeden w życiu tyle pięknych ocz i te oczy tak czule, tak namiętnie rozkoszowały się tobą, jak patrzą i nasycają się codziennie w sklepie Ryfki — o! mój kochany Panie! byłbyś szczęśliwszy niż najwierniejszy w raju Mahometa! Co tam materyi, aksamitów, atlasów! jakie desenie! kolory! jaki gust, gatunek! jakie szale, jakie mantyle! aj! aj! aj!...

Może się nikt nie zastanowił nad tém, iż magazyn Ryfki jest to zaród i koniec wszystkich nieporozumień w sąsiedztwach, małżeństwach, familiach; źródło intryg, zawiści, knozań i jedyny kompromisarski środek; paszcza pożerająca niemniej ogromne summy jak sukcesya familii Rennenpontów — i to wszystko tak niewidocznie, pod tak utudną maską, iż my wszyscy cierpiący gorączki, dostający pragnienia, wpadający w kieszeniowe suchoty, — ani się domyślamy prawie skąd ich źródło.

Przed magazynem Ryfki, zawsze podczas jarmarku zastać można kilka eleganckich powozów — w magazynie grono dam, przepatrujących sztuk materyi, które im tak zgrabnie umieją prezentować żydki, kommisanci Ryfki — jest to kwiat kommisantów Berdyczowskich, korona głębokiej psychologicznej znajomości ludzi. Nie są oni bynajmniej podobni do tych kommisantów których spotykamy w magazynach miast wielkich, gdzie li grzeczność i usługowość ma się na względzie, a stała cena towaru już sama przez się stanowi bilans handlu. Tu cen stałych nie masz, a ceny prawdziwej niepowiedzą. Skoro wchodzi kupujący, żydzi go spotykają, przeprowadzają — obrzucają przenikliwym wzrokiem od stóp do głowy — wzrokiem porozumiewają się z sobą, a pytając czego żąda, już odgadują to sami, już wiedzą z kim i jak mają pro-



wadzić targi. Z kilku słów które zręcznie wyłowić umieją, poznają charakter osoby, miarę jej znajomości na towarach, jej słabą stronę, zrozumienie lub nieśmiałość, znajomość albo niewiedza. Główna uwagi jest, iż znawca nabędzie zawsze taniej od nieznawcy, chociażby ten ostatni prowadził targ najzaciętszy. W handlowym kodexie swoim mają na to szczególniejszą rację. Znawca, powiadają, nie kupi drożej, bo wie prawdziwą cenę, więc chociażby zysk był nieznaczący, sprzedać mu należy; nieznający się zaś zapłacić powinien drożej, bo się nie zna, i właśnie za to że się nie zna. Przedać mu za stosowną cenę nie godzi się, mówią u nas, chociażby przyszło wypuścić go ze sklepu, bo jeśli nie kupi tu, więc kupi gdzie indziej za podobnie wysoką cenę, a tanio nigdzie mu nie sprzedadzą. Piękne nasze panie ani się postrzegają jak oszukanemi zostają. Żydzi rozwijając przed ich oczami mnóstwo sztuk materyi, każdą chwając, każdą prezentując w różnych sposobach a prezentując jak najzgrabniej, tym, w gruncie głęboko wyrachowanym środkiem, obalamucają w końcu do takiego stopnia zmysły, iż się traci różnica między złem a dobrem, tanim a drogiem, gustownem a brzydkiem, i kończy się tём, iż albo się robi myłka w kupnie, lub się nabywa i płaci wedle żądania żyda. Nadto, mają oni głęboko wyrachowany sposób bałamucenia zmysłów, a ten jest, iż nigdy nie będzie milczał i nigdy nie pokaże od razu to czego potrzebują, lecz rozłoży pierwój sztuk kilkanaście, zachwalając najbezczelniej każdą. Powiedzieć przy tём samolubnej że to jej do twarzy, zarozumiałemu że się zna na tём, skąpemu że kto grosza nie szanuje sam go niewart, rozrzućnemu że tylko jemu pokazuje ten towar, że tylko dla niego go chował a reszta państwo nie kupią, bo reszta państwo nie takie wielkie panowie i t. d. i t. d. pytam proszę: kogo takim sposobem wplątać w swoje sidła nie można? o, żydzi, to naród znający głęboko naturę człowieka i celujący jak może żaden w praktycznych sposobach korzystania z jego ułomności! A faktor, a miszures, a arędarze nasi po wioskach, a kupcy nasi na zboże i wódkę? co to za charaktery! co to za doskonałość w przebiegłości, w korzystaniu z czego tylko korzystać można! Niektórzy pisarze nasi już dotknęli w swych dziełach tej klasy, ale jeszcze wiele typów nadzwyczaj zajmujących nie wzięto pod pióro.

Idźmy dalej. Oto targ powozów. Karety, koczki, kabriolety, drażki, bryki, a nadewszystko nejtyczanki. Nejtyczanek namnożyło się tyle, przeistoczono je tak bardzo, iż ledwie ślad pozostał na nich

z dawniej, prawdziwej nejtyczanki. Baragoli nasi dali im kurs powszechny. Dziś nie masz u nas domu gdzieby niebyło nejtyczanki. Baragołę czystej krwi i nejtyczankę z Nejtyczan, w Berdyczowie najpewniej widzieć można. Nie myślcie żeby to był obrazek bez interesu: wart on ołówka Orłowskiego. Konie w nejtyczance mają być odmastki, mierzyny, mocne dziarskie, patentowane bieguny, ubiegające po 80 i sto wiorst bez popasu. Woźnica w krakowskim ubiorze, z długimi włosami i czapeczką na baki; pies i dubeltówka w powozie. Kozak, prawdziwy Ukrainiec — z miną gęstą — pewną siebie, z czupryną zakreconą za ucho — z osełdecem na czapecie — szerokich hajdawerach — szerokim pasie i kozackiej kurtce. Przebiegły, przytomny, zwinny, silny, zdrów i młody — wierny typ dawnych dworskich kozaków. Milejący i nieubłagany wykonawca skinień swego pana. Osadzić rozhukanego konia — odpowiedzieć dowcipnie z kozacka — te zalety winien posiadać doskonale. Woźnica ma być w ręku z długim biczyskiem lecz krótkim batogiem, naszelniki muszą być łańcuszkowe, szleje rzemieńne, proste, kilka dzwonek i tyleż bałabanów, — broń Boże coś nie tak — już to nie baragoła. Nadto musi znać doskonale sposób jazdy baragolskiej i termina używane do koni. Ahij! hijho! hi ha hot! są to wykrzykniki trudniejsze do wymówienia jak wszystkie wyrazy dla nas w słowniku Chińskim. Woźnica z tej jednej zalety już jest poszukiwanym bardzo. Konie powinien zażywać lejcam i słowem: bicza używać rzadko i ten nie ma być w ręku lecz z prawej strony kozła wkłada się do pochewki umyślnie na ten cel przyrządzonej i tak trzmi pod ręką. W razie potrzeby chwytą się szybko i rzesiste cięcia spadają po kolei i w okamgnieniu kończy się exekucya. Konie już tak są przyzwyczajone do tych expromptów, iż jedno przeciągnięcie ręki do bicza, unosi nejtyczankę jak pióro. Proszę teraz widzieć samego baragołę. Włosy, brody — jak zechcecie: noszą dziś różnie. Na nim musi być burnus orzechowy z zagranicznego, grubego, kapucyńskiego sukna, obszyty kolorowymi sznurkami, tużurek kusy — modny, czerkieski pasek nabijany srebrnymi guziczkami, szerokie szarawary na oczkurze (pasku), pejez albo krótka kozacka fajka w ręku — i otóż baragoła. Zupełnie prawdziwy Baragoła, jest tu interesującym dla dam — przedmiotem zazdrości młodzieży — pożądaną rybką miszuresów. Nie myślcie iż zasłużyć na imię czystorasowego baragoły jest to tak łatwo! Panicz co się zdobył na to wszystko per excellentiam, już tём



samém daje nam do zrozumienia, iż musiał odbyć prób i frycówek co nie miara, że musi żyć w towarzystwie podobnych, sypie tysiące, gra w djabełka i sztosy, szumi po jarmarkach, płata figle, męczy i opłaca miszuresów. Ztąd też zdarza się widzieć często pod koniec jarmarku, iż ta sama kompletna nejtyczanka przejeżdża po targowicy końskiej, a w niej, obok kozaka, zamiast pana, siedzi żydek miszures; możesz więc, spotkawszy ją, zapytać śmiało: Co za to wszystko, *tak jak stoi*? Oczewista, iż panicz nie miał w sztosiku szansy.

Ale oto targ koni, handel końmi, jest to jedno wielkie, zbiorowe oszukaństwo. Ledwie setny przedaje niezepsute cugi: wszystkie inne są to podleczone, zatajone kaleki, sprowadzone i odkarmione dla wywabienia od nieznających się pieniędzy. Ztąd też jak domyślicie się, żydzi są tu celujący. Zajmująca to rzecz widzieć, gdy liwerant prezentuje konia. Jeden z nim wypada ze stajni, drugi pędzi tuż za nim świszcząc batogiem; rozpędzają — zwracają — osadzają — krzyczą, — zabiegają wprzód, na tył, z boków. Koń wykarmiony, wyczyszczony, wymuskany, znalazłszy się raptem z ciemnej stajni na słońcu, słysząc nad uchem znajomy mu poświst bicia, gwar, hałas, — leci, płoszy się, parska, jeży, spina — sam niewie gdzie jest, co się z nim dzieje, na jaką stąpić nogę. Tak pokazany koń zdaje się być angielszym, arabszym, kat wie nie czém! Targ w targ, wyliczają się pieniądze, koń odprowadza się do stajni nabywcy, spoczywa po piekielnej męce — i cóż? Oto odkrywa się później, iż ten nieukrócony rumak albo kaleka na wszystkie cztery nogi, albo ma podrobione lata, albo zakarmiony wapnem i t. d. Jeśli nabywca postrzeże się wcześniej, więc wyprowadza go da capo na targ i tymże samym sposobem jak go oszukano, stara się oszukać drugiego.

(Dokończenie nastąpi).

## ROZMAITOŚCI.

— **Arystokracya brody.** Pewna dama pełna talentu, nazwiskiem Casa-Mayor, wydała w Paryżu w tej chwili dzieło oryginalne pod tytułem: patologia małżeństwa. Do tego dało jej powód zamordowanie księżnej Praslin i jej listy wzruszające każdego. Wprawdzie powiada niejedno zdanie kacerskie, ale mimo to zapewne nasze czytelniczki przeczytają z ciekawością ustęp, gdzie mówi o posłuszeństwie, które winna żo-

na swemu mężowi. „Dla czego posłuszeństwo? Żołnierz słucha kaprała, kapral feldwebela, feldwebel oficera i t. d. bo niższy stopień znajduje powód do posłuszeństwa w wyższym stopniu. Wikary słucha proboszcza, proboszcz biskupa i t. d. z podobnego względu. Urzędnik słucha ministra, ponieważ piastuje urząd, wymagający znakomitych zdolności. Robotnik słucha fabrykanta, który go żywi. Uczeń słucha nauczyciela, bo ten więcej wie od ucznia. Syn słucha ojca, bo mu dał życie i jeszcze więcej. Ale czemuż żona ma być posłuszną mężowi? Czyli mąż wie więcej niż żona? Bóg nie stworzył przecie kobiety jako ciała ciemne, które odbiera światło od innej przyświecającej gwiazdy. Czyli duch mężczyzny jest inny jak kobiety? Mózg u obojga jest podobny. Czyli mężczyzna wyżej postąpił w moralności? Tego nikt nie śmie utrzymywać na seryo. Czyli mężczyzna utrzymuje pracę swą kobietę. Rzecz to jest mylna w gronie ludu. Kobieta tu pracuje zarówno z mężczyzną. W gronie stanu średniego, a nie licznego, pracuje w ten lub w ów sposób. Jeżeli w wyższych stanach kobieta nie pracuje rękoma, okupuje prawo to wianem, a nawet często żywi mężczyznę, a jeżeli nie jest gospodynią, odgrywa rolę pani domu w salonach i przyjmuje gości; kiedy w kantorze lub biurze nie pracuje, zjednywa domowi handlowemu przyjaciół przez swe powaby, przez talent swój towarzyski; dla czegoż ma więc być posłuszną mężczyźnie? A dalej: — syn staje się ojcem, uczeń nauczycielem, urzędnik ministrem, wikary biskupem, żołnierz marszałkiem, przynajmniej nim być może, jedna tylko kobieta wyżej nie może postąpić, zawsze musi być posłuszną. Każde stanowisko podrzędne jest przechodnie, tylko jej pozostaje nieporuszone jak murzynow. Murzyn swego koloru zmienić nie może, kobieta zaś płci swojej. Dwie za dni naszych są tylko silne ustalone arystokracje: arystokracya skóry i arystokracya brody. A dla czego? Tylko jeden powód to może objaśnić: mężczyzna jest silniejszy i prawa stanowi.

— Dyrektor fabryki porcelany w Sevres doniósł akademii umiejętności w Paryżu i dowiódł próbami, że umie naśladować wybornie rubiny i topazy tak dalece, że ich od naturalnych trudno rozróżnić.

— Wprowadzają teraz zamiast giesich i stalowych, złote pióra do pisania, któremi nadzwyczajnie dobrze ma się pisać.

— Sposób wynajdywania w Rossyi złodziei. Pan Haxthausen opowiada, że w Rossyi jeszcze dziś znajdują się czarownice w wysokiem poważaniu. W domu jednego Niemca, którego odwiedzałem, popełniono kradzież. Opowiadano mi, jakim sposobem



starają się wykryć złodzieja i zwykle go wysledzą. Pani domu posłała po babuszkę, którą uważano za czarownicę. Skoro ta przybyła, zwołano wszystkich służących do pokoju i oświadczano, iż jeżeli pomiędzy nimi znajduje się ten, co ukradł, niech się przyzna, a mniejszą poniesie karę, a jeżeli tego nieuczyni, to go babuszka wykryje. Winowajca zaraz się przyznał. Następujące w przeciwnym razie jest postępowanie: babuszka tyle robi kulek z chleba ile jest ludzi, stawia naczynie z wodą przed siebie, każe ustawić się służbie w półkole około wody i mówi: Iwanie, jeżeliś jest winowajcą, kulka na dno tak upadnie, jak twoja dusza w piekło. Kulki niewinnych mają pływać; żaden pospolity Moskal nie dopuści, aby kulkę wrzucono z jego nazwiskiem do wody, a prosty znany powszechnie środek jeszcze ma tam swoją powagę.

— Magistrat Londynu pokazał w tych czasach swój rozum niepospolity. Chodziło o zakupienie domu po Szekspirze, na które miał magistrat wyłożyć pieniądze. Powstał jeden z radców i rzekł: będziemy przymuszeni kupić wszystkie domy, w których mieszkali słynni mężowie, skoro kupimy dom po Szekspirze.

— W poniedziałki i wtorki odbywają się targi w Londynie między Spitafield i Bethnal Green na dzieci od lat 8. do 10., które rodzice na dniowe usługi wydzierzawiają. Podobne targi tylko widzieć można w Afryce, gdzie rodzice własne dzieci sprzedają.

## M O D Y.

Paryż, dnia 26. Października 1847.

Opończe, które damy noszą wracając z balów lub teatru, są z repsu, atlasu lub kaszemiru. Na atlasie i repsie najlepiej wyglądają czarne lub białe koronki albo też skrepowane lekkie fręzle. Fręzle zaś wyłącznie niemal stanowią wystrojenie opończ z białego, niebieskiego, różowego lub perłowego kaszemiru. Kapturki u ostatnich są kończasto wykrojone, często odznaczają się szerokimi wyłogami, jakimi są opatrzone płaszcze na przechadzkę przeznaczone. Rękawy znajdują się w drugim dużym kołnierzu lub kiedy go niema są u nich weneckie rękawy.

Płaszcze aksamitne, czy to są ozdobione koronkami, czy fręzlą lub pasamonami w kształt haftu, mają rękawy po większej części w drugim wielkim kołnierzu lub też są utworzone z przedłużenia naramiennic. Czarne te płaszcze aksamitne są podszyte

czarnym atlasem lub floransem. Widzimy także wiele płaszczy w kolorze ciemno niebieskim, wanilowym lub fioletowym. Ostatnie podszywają białym atlasem. Na neglige biorą sukna w kolorze muru, wyglądające na nicach niebiesko. Z sukna tego flanelowego robią także kryspiny bez rękawów, strojąc je ukośnami niebieskimi bortami. Płaszcze te lubo proste, ale się bardzo podobają.

Malenkie vareuse, kalfaniki marynarskie z aksamitu, atlasu, kitajki lub kaszemiru niezmiernie się podobają w tej chwili, gdzie jeszcze niezupełnie się upowszechniły ciepłe zimowe ubiory. Służą one za ciepłe i wygodne odzienie w teatrach i na wieczorach, jeżeli są nieco strojnie zrobione.

Staniki u sukien po większej części robią gładkie i z pół sznęką. Naramiennice zdobią tylko wąskie rękawy, które u dołu się schodzą i powinny przypominać wystrój na powłocie.

Otwarte rękawy uważają więcej za strój większy i ukazują się na wieczorach, przy obiadach i w teatrach.

Wiotkie damy noszą na gładkich stanikach wyłogi, które koronką z przodu od przepaski się zaczynają, w górę się rozszerzają i kończą się w szwie u rękawa.

Przednia bielizna przedewszystkiem jest poszukiwana. Angielskie hafty stały się modnymi w wystrajanu powłok.

Nowe kapelusze tak rozmaity mają wystrój, że trudno dać ich opisanie. Widzimy kolorowe blondyny pomieszczone z niestrzyżonym aksamitem lub atlasem, pióra i czarne koronki na kapeluszach z pełnego aksamitu lub atlasu. W ogóle sama mieszanina tkanin pokazuje się, niestrzyżony i pełen aksamit zawsze znajduje się w zespoleniu z atlasem. Widzieliśmy piękne kapotki z atlasu, wystrojone aksamitem i koronkami.

## Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz z kwiatami i zastoną. Mantylla atlasowa. Jedwabna suknia z falbanami w zęby.
2. Kapelusz jedwabny zdobny piórami. Suknia z włoskiej kitajki orzucona koronkami.
3. Kapelusz atlasowy. Suknia kitajkowa z falbanami. Szarfa aksamitna.